

kratyczna. Bronisław Świdorski w *Gdańsk i Ateny. O demokracji bezpośredniej w Polsce* (1996) stawia tezę, że autentyczna demokracja bezpośrednia miała miejsce jedynie w Sierpniu w Stoczni Gdańskiej. Innymi słowy, analiza dyskursu dokumentów programowych nie może zastąpić analizy postaw działaczy. W przeciwnym wypadku można odnieść wrażenie, że zmiana dyskursu Solidarności na binarny — wraz z wprowadzeniem stanu wojennego — odbyła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Faktycznie był to proces, którego korzenie możemy odnaleźć przed 13 grudnia.

Powyższe zarzuty prowadzą do kolejnej obiekcji związanej z naturą myślenia strukturalistycznego: pozbawione jest ono wymiaru wyjaśniającego. Być może jest to jeden z powodów, dla których mało kto dzisiaj odwołuje się do strukturalizmu w sposób bezpośredni. O ile strukturalistyczny schemat oferuje możliwość cennego opisu, o tyle nie pozwala zrozumieć przejść pomiędzy kolejno następującymi fazami zmian historyczno-społecznych. Ze strony autora pojawiają się jedynie sugestie, że ternarny charakter dyskursu Solidarności stanowił ciągłość czy wynikał z polskiej kultury katolickiej. Strukturalizm pozwala jedynie uwypuklić pewne prawidłowości historyczne, na przykład gdy

dyskurs ternarny natyka się na dyskurs binarny, to zazwyczaj ten pierwszy zmienia się w ten drugi (jak dyskurs Solidarności po wprowadzeniu stanu wojennego). Nie jest jednak jasne, czy zawsze musi tak być. Oznaczałoby to fatalizm i niemożność wyjścia z dyskursu binarnego. Rojek jednak może się bronić, że jego celem było rozstrzygnięcie sporu na poziomie deskrypcji zjawiska. Można wyjaśniać związek między różnymi faktami dopiero wówczas, gdy potrafimy te fakty odpowiednio scharakteryzować. Teoria semiotyczna szkoły tartusko-moskiewskiej nie miała być teorią eksplikacyjną, lecz siatką pojęciową umożliwiającą sformułowanie w sposób precyzyjny i zweryfikowanie „tezy o odzwierciedleniu”.

Nawet jeśli można mieć pewne wątpliwości wobec niektórych założeń Rojka, to trzeba przyznać, że książka dobrze broni się przed wieloma zarzutami, ponieważ autor, jak wytrawny retor, przewiduje możliwe obiekcje i ma na nie gotowe odpowiedzi. Stawia odważną tezę, ale zarazem zna jej ograniczenia. Z niecierpliwością czekam na kolejne prace, w których autor z równym kunsztem będzie łączył socjologię empiryczną z kulturą filozoficzną, nie bojąc się zabierać głosu w sporach o wymiarze także publicystycznym.

MARCIN KULA  
Warszawa

### NOWE, CIEKAWE, ALE... OSTROŻNIE!

W pewnym sensie żałuję, że recenzowana praca nie powstała w środowisku historyków<sup>1</sup>. Co gorsza — jak znam życie — w małym stopniu będzie przez nas czytana. Jako historycy zbyt mało śledzimy prądy zdobywające dominację w humanistyce zagranicznej. Pozostaje cie-

Adres do korespondencji: j.m.kula@uw.edu.pl

<sup>1</sup> *Strategia mimikry. Ameryka Łacińska (i nie tylko) w ujęciu postkolonialnym*, Marcin Florian Gawrycki (red.), Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2012, stron 244.

żyć się, że przedstawiciele nauk politycznych — w szczególności autorzy książki — są na nie bardziej wyczuleni. Sam dużo się z tej lektury dowiedziałem — z czego cieszę się właśnie także jako zawodowy historyk.

Drugim powodem mojego zadowolenia jest okoliczność, że praca powstała w wyniku działań seminarium skupionego na określonej tematyce, wspólnie ją rozważającego, złożonego z młodych ludzi. W moim przekonaniu nie ma lepszego sposobu uczenia studentów (magistrantów) niż zaangażowanie ich do wspólnej, realnej pracy badawczej. Jeśli przynosi ona re-

zultat w postaci publikacji, to można się tylko skłonić przed organizatorem przedsięwzięcia.

Jednocześnie praca wzbudziła, nie da się ukryć, pewną moją irytację. Skoro autorzy przedstawiają swoje wyniki jako „dorosłe” studium, to niech i mnie będzie wolno polemizować „jak dorosły z dorosłym”, bez ulgi studenckiej.

\*

W moim przekonaniu podejście postkolonialne w wydaniu autorów staje się podejściem wszechogarniającym, chyba zbyt wiele tłumaczącym. Przez naukę zachodnią przechodzą takie fale zachwyty dla nowych podejść. W jakimś momencie kluczem stawała się na przykład koncepcja zależności. Te fale są pożyteczne, gdyż zwracają uwagę na ważne aspekty spraw. Z każdej coś zostaje — ale chyba żadna nie ostaje się jako uniwersalny „klucz” (wytrych?) do wszystkiego.

Nie ulega wątpliwości, że studia postkolonialne zwróciły uwagę na interakcję pomiędzy kolonizatorami oraz skolonizowanymi, także na to, że skolonizowani, wręcz więźniowie, są czynnikiem aktywnym w stosunkach z nadzorcami. Zerwanie z ideą „biernego skolonizowanego” jest zasługą referowanego podejścia. W końcu, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, milczenie oraz zachowywanie „nieprzeniknionej twarzy Indianina” też było postawą aktywną.

Studia postkolonialne zwróciły uwagę na tytułowe w recenzowanej książce zagadnienie mimikry skolonizowanych, a obecnie już byłych skolonizowanych. Nieraz nawet w wyglądzie zewnętrznym skolonizowani starali się upodobnić do kolonizatorów. Wiadomo mi, że Bolivar na portretach stopniowo coraz bardziej upodabniał się do rzymskiego rycerza, afrykańscy inteligenci w Paryżu w latach sześćdziesiątych XX wieku należeli do ludzi najstarszej ubranych, a w Meksyku jeszcze niedawno sam widziałem jak to w lepszych sklepach ubraniowych manekiny nabierały europejskich rysów i jasnej, celuloidowej „cery”.

Bardzo dobrze, że autorzy przedstawiają to wszystko. Szkoda, że czasem nie czynią wyraźnego rozróżnienia pomiędzy tym, co referują ja-

ko poglądy potomków ludzi skolonizowanych, formułowane w kategoriach analizy postkolonialnej, a własnym zdaniem. Dopóki referujemy cudze poglądy, dopóty możemy, a nawet powinniśmy referować wszystko — niekoniecznie dyskutując, czy są to poglądy naszym zdaniem słuszne. Powinno być jednak jasno powiedziane, gdzie w wykładzie zaczyna się własny pogląd wykładowcy. Odnoszę wrażenie, że autorzy „kupili” kategorie analizy postkolonialnej — do czego mają prawo, ale transakcja winna być bardziej przejrzysta. Warto by też mocniej zaznaczyć, czyje poglądy wyraża referowany miejscowy pisarz. Dominika Woźniak traktuje twórczość Gilberta Freyre jako wyraz akcentowania specyfiki kultury brazylijskiej, a więc jako działanie antypostkolonialne. Tak rzeczywiście było. Chyba było to jednak działanie antypostkolonialne wyłącznie białych elit. Nie przypuszczam, by brazylijscy Murzyni i Indianie polubili tę książkę, nawet jeśli ją poznali. To był biały produkt, pokazujący chyba nierealistycznie stosunki międzyrasowe w brazylijskich dziejach.

Nie wszystko, co sprzeciwia się sytuacji postkolonialnej i takimuz podejściu intelektualnemu, musi być sensowne. Teoria zależności miała z pewnością aspekt sprzeciwu i przez to mogła być nawet sympatyczna. Nie znaczy to jednak, że nie miała istotnych słabości (i to nie tylko dlatego, że nie była dostatecznie oderwana od kategorii europejskich, za co bywa krytykowana).

\*

Autorzy stosują podejście postkolonialne do bardzo różnych sytuacji. Nie przeszkadza mi rozpatrywanie w tych samych kategoriach Indii, Ukrainy oraz Ameryki Łacińskiej. Od dawna dostrzegałem podobieństwa drogi rozwoju Europy Wschodniej oraz Ameryki Łacińskiej; możemy zdefiniować owe podobieństwa w kategoriach kolonializmu. Jednak skoro tak, to zdajmy sobie sprawę, że — po pierwsze — moglibyśmy pójść jeszcze dalej. Dzieje prawie każdego kraju miały elementy sytuacji kolonialnej oraz postkolonialnej. Nie tylko Ukraina, Indie i Ameryka Łacińska, ale także na przykład Pol-

ska i Stany Zjednoczone. Worek, do którego da się wrzucić wszystko, bywa zaś niebezpieczny jako nadmiernie szeroki. Jeśli się dobrze rozpedzić, to można dojść do wniosku, że w gruncie rzeczy wszystkie kraje są dziś prawie kolonią Stanów Zjednoczonych. Dyskusje, czy zachowywać specyfikę własnej grupy lub kraju, wręcz ją akcentować — czy dopuścić do zatracenia się jej — można odnaleźć na przykład w społeczności żydowskiej w Europie Wschodniej. Część Żydów zamierzała się asymilować, część zachować specyfikę, część zaś chciała asymilacji, ale po pewnych doświadczeniach uznała ten kierunek za niedrożny itd. Podobne to do niektórych reakcji w sytuacji postkolonialnej — ale trzeba się zastanowić, czy to ten sam worek.

Zdajmy sobie sprawę, że — po drugie — w ramach kolonialnych występowały bardzo różne sytuacje realne. Ameryka Łacińska była o tyle specyficzna, że grupa społeczna tam licząca się stanowiła europejski eksport. Nawet jeśli — co prawda — Kreole byli „gorsi” od „Półwyspiarzy”, to była to jednak sytuacja bardzo inna niż afrykańska (poza Afryką Południową). Sytuację Ameryki Łacińskiej trzeba interpretować najpierw jako kolonialną, a potem zapewne jako postkolonialną, ale Biali byli tam pierwszym szczeblem kolonii, Indianie drugim, Murzyni pewno trzecim. Takich odmian realnej sytuacji kolonialnej bywało wiele. Kraj sam mógł być parakolonią i zarazem swego rodzaju metropolią dla innego terenu. Przykładem Polska, funkcjonująca w roli kolonii w okresie eksportu zbożowego, a rolą metropolii spełniająca dla ziem na wschodzie.

Niektóre sytuacje nie były oczywiste jako kolonialne. Autorzy dyskutują, czy Polska była *de facto* kolonią w swej najnowszej historii. Nie jestem pewien, czy okupacja niemiecka podczas drugiej wojny światowej da się zinterpretować w kategoriach kolonialnych. Jak wiele wskazuje, hitlerowcy zmierzali do stworzenia takiej sytuacji, ale w latach 1939–1945 jeszcze jej nie stworzyli. Nie każdy rabunek i terror da się zinterpretować jako sytuacja kolonialna. Z punktu widzenia własnych oczekiwanych korzyści — co jest istotnym elementem definiującym kolonię — hitlerowcy nieraz prowadzili

politykę wręcz kontrproduktywną. Czy z kolei PRL była kolonią ZSRR? Obawiam się zabrać głos w tej sprawie, autor (Andrzej Szeptycki) bowiem ustawił sobie potencjalnych przeciwników, gdy stwierdził, że „część klasy politycznej i część wyborców” boi się uznania tego faktu — a następnie doprecyzował, że „chodzi tu zwłaszcza o postkomunistyczną lewicę i przedstawicieli starszego pokolenia, którzy większość życia spędzili w PRL” (s. 65). Ponieważ przynajmniej ta ostatnia kwalifikacja odnosi się do mnie, więc nie wiem, czy warto ryzykować polemikę. Spróbuję jednak. Dominacja polityczna ZSRR nad PRL była oczywista. Sprawa wyzysku ekonomicznego jest już bardziej dyskusyjna. Nie oczekuję, by została łatwo przesądzona. Sam zresztą przywiązuję większą wagę do narzucenia PRL pewnego wzorca rozwoju niż do bezpośredniej eksploatacji. Dominacja kulturalna ZSRR była powierzchowna, choć oczywiście w Polsce przyjmowano parasowieckie sposoby zachowania i działania — podświadomie lub jako jedynie skuteczne w konkretnej sytuacji. Bardzo ważną cechą sytuacji kolonialnej było jednak (prawie) zawsze uznanie przez skolonizowanych wyższości cywilizacyjnej kolonizatorów. Po wyzwoleniu eks-skolonizowani często chcieli mieć linię lotniczą w stylu British Airways oraz uniwersytet w stylu Oxfordu. Nic takiego nie zachodziło w Polsce w stosunku do ZSRR. Wpływy Rosjan postrzegano tu raczej jako najazd barbarzyńskich Germanów na cywilizowany Rzym (w tym ostatnim wypadku nie jest zresztą pewne, czy zawsze słusznie).

Zdajmy sobie sprawę, że — po trzecie — nawet najbardziej rozwinięte i metropolitalne kraje miały „kolonie wewnętrzne” — teryny zacofane (obszary „B”), a także grupy ludności funkcjonujące w roli porównywalnej do „skolonizowanych tubylców”. Wokół takich enklaw najczęściej rozwijała się dyskusja — jak wokół kolonii — czy są to tereny eksploatowane przez rozwinięte centrum, czy utrzymywane na garnuszku przez owo centrum. Jeśli można żartem pozwolić sobie na argument *ad personam*, to zwrócę uwagę, że rodzinna miejscowość szefa projektu, Giżycko — a zarazem miejscowość, gdzie poświadczył on zakończe-

nie dzieła przez złożenie podpisu pod wstępem — w okresie międzywojennym leżała w Prusach Wschodnich, czyli w faktycznej wewnętrznej kolonii Rzeszy.

Rozumując dalej, warto zwrócić uwagę, że niektóre wewnętrzne kolonie nie były tylko koloniami. Irlandia była pierwszą *de facto* kolonią Wielkiej Brytanii i buntowała się, ale Brytania trzymała w garści swoje imperium rękami Irlandczyków. Jeśli rozpatrywać zagarnięcie Austrii przez Hitlera jako przyłączenie wewnętrznej kolonii (jak Algierii przez Francję w charakterze departamentu francuskiego), to warto jednocześnie pamiętać jak wielu komendantów niemieckich obozów koncentracyjnych było Austriakami.

Zdajmy sobie sprawę, że — po czwarte — sytuacja najpierw kolonialna, a następnie postkolonialna, nie zawsze musi wiele tłumaczyć. Przypominam, że Stany Zjednoczone były kiedyś kolonią, a nieźle się rozwinęły. Przypomnę Australię, Kanadę, Afrykę Południową. Dlaczego zatem kraje Ameryki Łacińskiej, porównywalne z punktu widzenia europejskiej emigracji, która zdominowała miejscową ludność, nie rozwinęły się porównywalnie, lecz właśnie wciąż mają bardziej zaznaczone cechy postkolonialne?

Gdy mowa o sytuacjach postkolonialnych, warto też wziąć pod uwagę współczesny Tajwan, Koreę Południową, Finlandię, pewno jeszcze jakieś kraje. Oczywiście, w wypadku tych ostatnich dynamiczny bodziec gospodarki chyba wciąż działa z zewnątrz, co jest elementem sytuacji kolonialnej — ale przecież nie tylko kolonialnej. Nadto nie da się powiedzieć, że wymienione kraje eksportują jedynie surowce bądź produkty mało przetworzone. Chciałbym, żeby Polska miała eksport o podobnej wartości dodanej jak one.

Zdajmy sobie sprawę, że — po piąte — niektóre zjawiska są głębsze nawet niż sytuacja kolonialna lub/i postkolonialna. W końcu naprawdę nie jest powiedziane, że Indie rozwijałyby się ku gospodarczej i politycznej potęgze gdyby nie kolonializm. Marks był szczęśliwy, gdy odkrył rodzime tkactwo indyjskie i mógł powiedzieć, że zabiły je perkaliki brytyjskie. Nie ma jednak pewności, że gdyby nie Wielka Bryta-

nia, to na miejscu Bangalore stałby Manchester (a tak o 20 km dalej dziś stoi „tylko” super-ośrodek informatyczny!). Jest prawdą, że parakolonialny polski eksport zbożowy fundamentalnie zdefiniował drogę dalszego rozwoju Polski — ale (a) już w średniowieczu więcej nowych pomysłów płynęło z Zachodu na Wschód niż odwrotnie, (b) łatwo wskazać gdziekolwiek, także w Europie Wschodniej, tereny, z których nie eksportowano zboża, cukru, drewna... a które jednak nie rozwinęły się w oparciu o gospodarkę chłopską i rynek na podobieństwo Stanów Zjednoczonych.

Analiza w kategoriach postkolonialnych trochę wpada w łatwiznę podobną do tłumaczenia wszystkiego co teraz w Polsce złe lub/i kłopotliwe dawnym komunizmem. Kolonia i postkolonia to jednak nie wytrych. Stopień skolonizowania i dzisiejszych zjawisk „postkolonializmu” bywa różny. Chyba jest dziś więcej na przykład w Haiti niż w Argentynie, nieprawdaż? Chyba trudno twierdzić, że Brazylia pozostaje w sytuacji postkolonialnej w stosunku do Portugalii? Można oczywiście twierdzić, że zachodnie kraje niegdyś kolonialne narzuciły światu pewien wzorzec rozwoju, o którego realizacji dziś wszyscy marzą. W tym sensie wpływ dawnego kolonializmu może trwać. Na Europę Zachodnią jak na wzorzec od dawna patrzyły jednak nie tylko kraje skolonizowane lub postkolonialne. Nie tylko kraje Ameryki Łacińskiej były zafascynowane tamtymi prądami artystycznymi, intelektualnymi, wojskowością... włącznie z faszyzmem i komunizmem (ten ostatni też był, wbrew pozorom, produktem częściowo zachodnim). Odrzucający cywilizację zachodnią sowiecki komunizm budował Magnitogorsk na wzór hut angielskich (a potem Nową Hutę i jej siostry w „bratnich” krajach na wzór Magnitogorska, a więc pośrednio też na wzór zachodni). O kradzieży wzorów produkcyjnych, od pobiedy/warszawy poczynając, nie warto nawet wspominać.

Może zapatrzenie w zachodni wzorzec rozwoju jest pozostałością (skutkiem) kolonializmu. Cóż jednak poradzić na to, że jest to dziś jedyny atrakcyjny wzorzec rozwoju, podczas gdy inne padły? Sprawa bywała dyskutowana w dziejach. Różnicom poglądów Neh-

ru i Gandhiego lub dyskusjom wokół *Semana de Arte Moderna* w Brazylii odpowiadały różnice między „słowianofilami” a „zapadnikami” w Rosji. Irlandczycy swego czasu nie chcieli naśladować Anglii (nawet nie chcieli grać w piłkę nożną!), a w Królestwie Obojga Sycylii pojawił się motyw, że cywilizacja, w której kontempluje się rzeczywistość pod drzewkiem, jest lepsza od przemysłowej. W odniesieniu do różnych krajów opowiada się historyjkę o satysfakcji czerpanej z lenienia się pod drzewem. W wersji gruzińskiej brzmi ona następująco:

„Micho, typowy mieszkaniec płynącej winem Kachetii, ucina sobie w środku dnia drzemkę pod drzewem. Przechodzi amerykański turysta: «Czemu tak leżysz, człowieku? Wstałbyś, poszedł do roboty, zarobił dużo pieniędzy i mógłbyś robić, co tylko duża zapragnie». A Micho patrzy zdziwiony na intruza i pyta: «A co ja niby teraz robię?»<sup>2</sup>.

Pozostaje faktem, że takie stanowiska w wielu wypadkach zbankrutowały. Socjalizm przedstawiał nam coca-colę jako coś strasznego, proponując bary mleczne. Mieliśmy propozycje socjalizmu afrykańskiego. Pozostaje faktem, że dziś na całym świecie pijemy coca-colę i chodzimy do McDonald's — co można interpretować w kategoriach postkolonialnych, ale niezbyt wiadomo, jak mielibyśmy się wyzwolić z tej niewoli. Socjalizm, ani wschodnioeuropejski, ani afrykański, nie okazał się sensowną drogą, a w szczególności nie stworzył konkurencyjnego *McKrakus'*. Może z czasem w Polsce będziemy mieli szczęście i wymyślimy coś w rodzaju Nokii — bo na produkcję nowej wersji syrenki lux, nawet niezależnej od Zachodu, osobiście nie mam ochoty. Jeśli jednak nawet wymyślimy nową Nokię, to też nie wiem, czy chciałbym odwrócenia się od społecznego wzorca Zachodu — nawet jeśli widzę jego negatywy — w kierunku na przykład uprawiania zbiorowe-

go, rzekomo niewyalienowanego tańca ku czci ludzkości. Ludowe tańce zamiast rocka i sodowa z sokiem zamiast coca-coli nie są szczególnie atrakcyjne.

Pewne zjawiska ewolucji świata są silniejsze niż kolonializm, nawet jeśli ich skutki można nazwać postkolonialnymi. Gdy na przełomie XIX i XX wieku elity brazylijskie chciały sprowadzenia białej siły roboczej z Europy, by „wybielić” kraj, była to niewątpliwie realizacja postkolonialnych kompleksów. Czy jednak gdy dziś Brazylijczycy skorzystali z zachodniej myśli technicznej przy produkcji embraera, to jeszcze raz wystąpili w roli ludzi kiedyś skolonizowanych? Wątpię.

Któryś z intelektualistów postkolonialnych państw wyspiarskich Ameryki Łacińskiej określił długotrwałą, typową sytuację własną i kolegów słowami: „Oczekiwaliśmy statku” (statku z Europy, który przywiezie prasę, książki itd.). My dziś w Polsce — i wszędzie — nie oczekujemy statku, ale też śledzimy treści z Zachodu. Nawet autorzy pod kierunkiem prof. Gawryckiego zainteresowali się zachodnimi studiami postkolonialnymi, a nie sięgnęli do renesansu myśli Dżyngis-chana, który ma miejsce teraz w Mongolii. Nie stworzyli własnej koncepcji, którą by zaproponowali światu. Uważam, że nie wykazali się dostateczną odwagą (powinni przecież zaproponować, nieprawdaż?!).

Nie ulega wątpliwości, że plan Marshalla był korzystny dla Stanów Zjednoczonych. Niemniej jednak *summa summarum* był korzystny też dla państw europejskich, które go przyjęły.

Oczywiście, że dziś polityka UE czy polityka MFW lub/i Banku Światowego upodabniają naszą sytuację do sytuacji postkolonialnej. Czy jednak z tego wynika, że drogą jest odcięcie się od tamtych pieniędzy, danie wiary ksenofobom, politykom w rodzaju Cháveza czy Peróna, pozostanie samemu na lodzie? Nie chcę wchodzić w tym miejscu w dyskusję polityczną, ale mam opory wobec zdania przedstawionego w recenzowanej książce przez Andrzeja Szepetyckiego:

„W tym kontekście pojawia się pytanie, czy w regionie Europy Środkowej i Wschod-

<sup>2</sup>A. Dziewit-Meller, M. Meller, *Gaumardżos! Opowieści z Gruzji*, Świat Książki, Warszawa 2011, s. 48.

niej pojawi się ktoś, kto zechce podjąć próbę przełamania istniejącego ładu, jak Hugo Chávez i jego ideologiczni pobratymcy w Ameryce Łacińskiej. Wydaje się, że takie próby były podejmowane przez niektórych polityków zaliczanych do środkowo-europejskiej prawicy (Lech i Jarosław Kaczyński, Vaclav Klaus, Victor Orban). Porażka tych pierwszych i krytyka, z jaką spotkali się w kraju i zagranicą, pokazuje że zerwanie postkolonialnych zależności jest bardzo trudne. Podobny los zdaje się czekać obecnego premiera Węgier, który uzależniony od pomocy UE i MFW może zostać zmuszony do wycofania się z części zaplanowanych reform w kraju” (s. 79).

Zapytuję, czy wymienione doświadczenia rzeczywiście cokolwiek pokazują? Czy nie było w nich (czy nie ma w nich) więcej gadania niż realiów, więcej ksenofobii, tromtadacji, ulegania mitom w kwestii siły Polski niż realizmu? Pomijam już różne niesympatyczne mi aspekty działań wymienionych polityków, Pomijam to, że Chávez ma ropę (a my na gaz łupkowy musimy poczekać), także to, że Perón miał rezerwy ekonomiczne wyniesione z wojny.

Jako naukowiec z Polski wiem, że wraz z kolegami mamy niewielką szansę zaistnienia w nauce światowej — co przypomina sytuację naukowców z byłych kolonii. Poza wyjątkami większą szansę mają jedynie ci z nas, którzy wyemigrowali lub wyemigrują. No dobrze, ale może warto się zastanowić, czy naprawdę mamy dużo do zaferowania? W ogóle w tych rozważaniach o postkolonializmie przeszkadza mi nadmierna, moim zdaniem, koncentracja na jednym aspekcie zagadnienia. Wyżej już wspominałem, że sytuacja postkolonialna może owocować różnymi skutkami. Wydaje mi się, że analizę w kategoriach postkolonialnych trzeba uzupełniać wiedzą o ewolucji wewnętrznej, która nie zawsze da się wytłumaczyć byłym lub obecnym uciśkiem zewnętrznym (choć takie wytłumaczenie pociąga, gdyż służy samousprawiedliwieniu).

Niejedna grupa społeczna ma utrudniony dostęp do edukacji w Ameryce Łacińskiej. Może to wynika z sytuacji postkolonialnej. Ale struktura studentów UBA i UAM według specjalizacji to chyba jednak produkt dzisiejszy? No dobrze, może skala wartości, pchająca ich ku humanistyce i prawu, jest też zakorzeniona we wzorach kolonialnych i postkolonialnych — ale coś można by chyba w tym zakresie zmienić, nieprawdaż? Jeśli nie zadajemy sobie takich pytań, to zdajemy się na podejście postkolonialne jako na wspomniany wyżej wytrych.

Nie byłem entuzjastą polityki prof. Balcerowicza, ani nie chłonałem z otwartymi ustami rad prof. Jeffreya Sachsa (śmiesznych jako odnoszące się niezależnie od warunków do obszarów od Alaski do Ziemi Ognistej). Warto jednak zapytać, czy były możliwości i szanse prowadzenia innej polityki. Warto pytać, co skłoniło jednak wielu ludzi oraz elity do poparcia tego kierunku. Znow można oczywiście powiedzieć, że był to zachwyt nad USA, wyrosły w konsekwencji parakolonialnej zależności od ZSRR. Jeszcze raz wszakże powtórzę, że boję się wytrychów w nauce. O marksizmie swego czasu też sądzono, że tłumaczy wszystko (i przekonywano nas do tego, że znanymi skutkami).

Historyk winien zrozumieć zaszły i zachodzący proces, a nie tylko go kwalifikować. Byliśmy — z elitami na czele — zauroczeni wzorem Europy Zachodniej oraz USA, jak przystało na mieszkańców i elity byłej kolonii. Dla w miarę pełnej analizy należałoby ją jednak uzupełnić o czynniki wewnętrzne warunkujące taką postawę. W końcu Indie wymyśliły dla siebie informatykę, a Finowie wspomnianą Nokię — czyli nie tylko montownie zachodnich samochodów — a my jak dotychczas nie wymyśliliśmy niczego podobnego.

\*

Autorzy reprezentują dużą erudycję. Doceńając ją, nie w pełni mogę się jednak zgodzić z twierdzeniami o historii jako dyscyplinie sformułowanymi przez Agnieszkę Bógdań-Brzezińską (w recenzji z pracy interdyscyplinarnej spe-

cialista z danej dyscypliny najczęściej nie godzi się ze sprawami sobie najbliższymi; taki jest już los autorów). Nie jestem pewien, czy studia historyczne wyrastają z tradycji europejskiej. W przedeuropiejskiej Afryce istniała odrębna kasta opowiadaczy historii („griotów”). Nie wiem, czy owi „grioci” istotnie różnili się od Woltera jako historiografa królewskiego i od prof. Nałęcz jako doradcy historycznego Prezydenta RP. Czy na pewno historycy-pozytywiści toczyli spór z przyrodnikami? Mnie się wydaje, że pozytywistyczna historiografia świadomie lub podświadomie starała zbliżyć się do przyrodoznawstwa — dążąc do obiektywizmu poznania i rzekomo jedynej prawdy. Fernand Braudel, zdający sobie sprawę z uwarunkowania historyka przez własne czasy i otoczenie, był raczej przeciwieństwem historiografii dziewiętnastowiecznej.

Zrobiła na mnie wrażenie deklaracja Bógdań-Brzezińskiej:

„W moim subiektywnym mniemaniu amatorskie czy profesjonalne studia historyczne nie powinny służyć zbyt wybujałym celom społecznym. Nie ma sensu przywiązywać się przesadnie do funkcji edukacyjnej dziejów, gdyż poszukiwanie analogii historycznych zawsze prowadzi do uproszczeń, których nie sposób usprawiedliwić niczym innym niż potrzebą chwili. Studia nad historią należałoby prowadzić tylko z pobudek czysto niepraktycznych, bo postawa ta dawać może większą gwarancję obiektywnej kwerendy źródeł, w miarę neutralnej analizy i wniosków. Jedyną wartością pobudką dla studiów nad przeszłością wydaje się niedosyt pewności, dlaczego ludzie w określonych warunkach postępowali w konkretny sposób. Byłoby to zatem dociekanie bliskie logice Guicciardiniego, gdyby nie teleologiczna wiara tegoż autora w nadawanie sensu dziejom przez wielkie postacie historyczne. Studia historyczne powinny toczyć się tylko dla przyjemności badacza, z dala od presji oczekiwań politycznych władzy czy ku chwale ideologii bądź instytucji, z którą jest związany. Pozostaje jeszcze kwestia miłości i wzajemnego zrozu-

mienia między badaczem a obiektem badań. Czy historyk musi kochać historię? Brytyjski badacz hitleryzmu o wyraźnie antynazistowskich poglądach, Hugh Trevor-Roper podkreślał z zelowaniem, że historyk musi kochać przeszłość. To chyba za daleko idące oczekiwanie. Zadaniem historyka nie jest ani umiłowanie, ani głęboka pogarda wobec przeszłości, lecz rozumienie motywów, które kierowały ludźmi minionych epok w ich działaniach. Sądzę więc, że wystarczy, aby ekscytował się on samym procesem śledczym, procesem dociekania prawdy, którego przecież podjął się dobrowolnie. Ten dreszczyk emocji doda mu odpowiedniej motywacji do badań...” (s. 33–34).

No cóż, autorka ma prawo do własnych poglądów. Są one jednak mało realistyczne. Swego czasu św. Bernard zarzucał mistrzom handel wiedzą, a więc tym, co według niego należało jedynie do Boga i co było bezpłatne w szkołach klasztorach<sup>3</sup>. Może autorka spróbuje zatem pracować w swoim zakresie „z pobudek czysto niepraktycznych”? Ja w każdym razie bezwstydnie deklaruje, że mój „dreszczyk emocji” w dociekanu prawdy, czego fragmentem jest pisanie tej recenzji, byłby większy przy wyższym honorarium. Wbrew autorce oraz wielu kolegom-historikom deklaruje też, że swojego działania nie definiuję jako procesu dociekania prawdy — a w każdym razie nie uważam owego procesu za jedyny. Rolę historii upatruję w zwiększaniu wiedzy o społeczeństwie. To nigdy nie będzie całkowicie niepraktyczne, gdyż społeczeństwo z różnych powodów potrzebuje wiedzy o sobie, także o przeszłości. Chciałbym, żebyśmy dzięki badaniu historycznemu uzyskiwali bardziej element socjologii historycznej niż kolejny samoistny fakt, nawet najprawdziwszy. Nie wchodzę już w tym miejscu w kwestię generalnej dyskusyjności pojęcia prawdy i łatwiejszego określenia co jest nieprawdą niż co jest prawdą.

<sup>3</sup>J. Le Goff, *Une vie pour l'histoire. Entretiens avec Marc Heurgon*, Éditions La Découverte, Paris 1996, s. 86.